TYGODNIK POZNAŃSKI

PISMO NAUKOWO-LITERACKIE.

Nr 19. POZNAŃ dnia 9 Maja. **1862.**

„Tygodnik Poznański" wychodzi co tydzień w Piątek. Abonament kwartalny wynosi w Poznaniu dla miejscowych 1 talar; dla zamiejscowych w Prusach na poczcie i w księgarniach: 1 i jednę czwartą tal.; w Austryi na poczcie 2 fl. 5 kr. w. a., w księgarniach 2 fl. śrb.; w Królestwie Polskiem i w Rosyi na poczcie i w księgarniach 1 rub. 58 kop. śrb.; we Francyi 5 fr.; w Redakcyi 1 i ćwierć talara, albo 2 fl. 50 kr. w. a., za które prenumeratorom numera co tydzień do najbliższéj stacyi pocztowéj franko nadsyłane będą. Redakcya przyjmuje wszelkie listy i nadsyłki frankowane pod adresem podpisanego Redaktora.

ALBUM
z podróży na Wschód.

(Ciąg dalszy).

ANKONA.

Zaopatrzony w paszport do krajów wschodnich, głównego celu mojéj podróży, zapisałem się w biórze Lloyda w Tryeście, najdłuższą drogą do Jaffy, pocztowym parowcem. Otóż wzorki i spostrzeżenia z téj drogi.

W słotny, ciemny wieczór grudniowy wypłynąłem z tryesteńskiéj przystani wielkim parowcem Imperatore, ku wybrzeżom krainy zwanéj: il giardino dell' Europa

che Appenin parte
E'l mar circonda e l'Alpe —

ku kołysce i ojczyźnie wszystkich sztuk pięknych, saméj tak pięknéj, iż od wieków toczą się boje o jéj posiadanie.

Italia, Italia, o tu cui feo la sorte
Dono infelice di belezza, ond hai
Funesta dote d'infiniti guai
Che in fronte scritti per gran doglia porte.

Siedząc na pokładzie, patrzyłem na koła maszyny rozbijające wodę w bieluteńką jak śnieg pianę. Deszcz padał rzęsisty, drobniejszy od makowych ziarnek; latarnie okrętowe rzucały niedługie a blade smugi światła na ledwie oddychające fale; zresztą nie było nic widać, ani słychać, tylko stąpanie majtka straż nocną odbywającego i pluszczący szum wody żwawo kołami sieczonéj.

O północy zaczął wietrzyk dmuchać i świstać gdzieś tam w masztów szczyty, jak w piszczałki; potem gdzieś niżéj począł głośno wzdychać i jęczeć, a okręt począł się kołysać, jakby się duch jaki potępieniem obciążony przechadzał po pokładzie. Nareszcie wiatr się rozhuczał, morze rozburzył i okręt rozbujał na dobre. — Będziemy pewnie mieć biedę? zapytałem czuwającego majtka. — „Si un pocco maretta" — odpowiedział; za parę godzin będzie spokojniéj, tylko się przeprawimy przez Quarnero (Zatoka Horwacka).

Nigdy w téj zatoce woda nie jest zupełnie spokojna, bo silne ją mącą wiry podwodne a z wierzchu rozrywają prądy; a kiedy morze dopiero zaczyna się pienić, Kwarnero wre i kipi, jakby tam wulkan ogniem rozpierał jéj łono. W pięć dopiero godzin uspokoił się okręt. Przepędziłem noc całą, niezmrużywszy oka, na pokładzie; około siódméj rano deszcz przestał padać, w pięknym blasku słońca ujrzałem Ankonę.

Najprzód się ukazały wieże i mury ogromnego lazaretu kwarantanny na wysokiem stojącego wzgórzu; w parę minut ukazała się majestatyczna katedra z wspaniałym przedsionkiem na drugiem wzgórzu naprzeciw pierwszego się wznoszącem po lewéj od morza. Między temi wzgórzami zaś całe miasto siedzi spiętrzone półkolem, jak na ławach staro-rzymskiego amfiteatru, przystrojone drzewami i ogrodami; samo zaś ma powierzchowność poważną, starożytną, a barwę dosyć smutną, bo poczerniałą.

Stanęliśmy w prześlicznym porcie półkolistym, oprawionym w marmur na 1,000 stóp szeroko, a ze dwa razy tyle wdłuż. — Port ankoński najwyborniejszy na całem morzu Adryatyckiem, jest dziełem Rzymian, o czem świadczy odwieczny łuk tryumfalny Trajana, przez który się z portu wchodzi do miasta.

Skoro kapitan wylegitymował Imperatora z całym jego dworem i gośćmi przed przybyłymi z miasta papiezkimi urzędnikami policyi i zdrowia, a po ich powrocie wywieszono ze strażnicy portowéj chorągiewkę, na znak, że wolno lądować, wysiadłem co żywo i pobiegłem do miasta. Przebywszy parę ulic, straciłem piękniejszy jego obraz widziany z dala.

Ulice niegodziwie brukowane, krzywe i kręte, nieczyste, ciasne i ciemne dla wysokości kamienic powiększéj części czarnych od starości a odartych. Po części bieda, po części niedbalstwo takiego opuszczenia i nieporządku przyczyną. Ale jakie za to prześliczne niebo, jakie miłe powietrze, jaki lud piękny. Zadziwiły mnie świąteczne stroje mieszkańców, ciągłe dzwonienie po licznych kościołach ustrojonych w girlandy i wieńce z kwiatów, firanki jedwabne z galonami itp. Nade drzwiami zaś lub na murach świątyń błyszczały na jedwabiu wyszyte lub czerniły się na papierze wezwania na nabożeństwa, obiecujące odpusty tam studniowy, indzie trzy i stoletni, a nawet zupełne na całe wieki. Spotykałem dużo księży w purpurze i fioletach, skromnych zakonników i jeszcze skromniejsze zakonnice, idące parami; na placu przed jakimś kościołem, na którym stoją popiersia papieży i posąg Madonny, rozlegały się okrzyki: Evviva Maria! Evviva papa Pio nono! Był to obchód rocznicy Niepokala-

nego Poczęcia M. B., niedawno za dogmat ogłoszonego, dla tego z szczególną obchodzono tę uroczystość okazałością, z procesyami, śpiewem, muzyką i dźwiękami dzwonów po całem mieście. Wśród pobożnego ludu płci obojéj i mnóstwa duchownych uwijali się żołnierze w mundurach austryackich i zaciężne drabanty papiezkie w różnych mundurach średnio-wiecznych, ciałem i duszą, obyczajami i językiem Włochom obcy.

Gdyby nie wyrzekanie mieszkańców na ciężkie życie i biedę, gdyby nie te obce wojska; gdyby nie skargi ogólne na tych stróżów publicznego porządku niekarnych i swawolnych, a po części niekatolickich, należałoby mniemać, że tu niebo niżéj się ku ziemi spuściło, tyle znamion pobożności wszędzie i tyle duchowieństwa, a okolica tak piękna, jasna, kwiecista i błoga. — Cały urok piękności świata Bożego psują niestety zawsze i wszędzie tylko źli ludzie.

Pośpieszmy do katedry na wielkie nabożeństwo. Przeprawiwszy się przez kilka ulic i uliczek zapełnionych ludem, podszedłem na skalisty przylądek rozpłaszczony u szczytu w plac obszerny czyli cmentarz katedralny, opasany nizkim murem. Prześliczny w około roztacza się obraz. U stóp moich wszystkie naraz domy jak na dłoni, kościoły, ulice, place, ogrody z fantastycznemi altanami; niżéj pobrzeże ożywione mieniącemi się w różne barwy gromadami ludzi; jeszcze niżéj port zapełniony statkami przystrojonemi z powodu święta w chorągwie, piękniejsze bandery, wieńce i girlandy z kwiatów i liści zielonych; daléj olbrzymie zwierciadło Adryatyku w przeróżne kolory się mieniące. — Z innéj strony rozległe a pięknéj struktury gmachy kwarantanny; znowu z innéj wzgórza we winogrady i drzewa strojne obszernem stoją półkolem; wreszcie tuż na oczach w środku placu wspaniała katedra gotycka z dziesiątego wieku. Cały ten obraz owiewa przezroczyste, wonne i miłe powietrze, cały pysznie oświeca słońce i cały nakrywa szafirowe, niezmiernie wysokie i obszerne, a jak eter lekkie sklepienie.

Sama katedra na zwaliskach świątyni Wenery wzniesiona poważne wzbudza uczucia starożytnością swoją, piękną architekturą i ogromem, szczególniéj zaś wspaniałym przedsionkiem zupełnie otwartym ku morzu. Dwa olbrzymie filary z czerwonego marmuru spoczywają na ogromnych lwach, strzegących zarazem głównéj bramy, któréj oprawa orzeźbiona fantastycznemi figurami, więcéj niż pół wypukłemi i liściem roślin rosnących jedynie w ogrodach artystycznéj fantazyi. Pomiędzy różnemi potworkami i ptastwem jest tam i pies, który w postawie dwunożnéj niesie zgrabnie na jednem ramieniu wiaderka kociełkowego kształtu, jakiemi Furlanki we Wenecyi po dziś dzień noszą wodę.

W kościele nie mógłem się rozpatrzyć po bizantyńskich malowidłach al fresco i na płótnie, ani po wielkich niby sarkofagi relikwiarzach marmurowych, ani ocenić architektury wewnętrznéj, bo przepełno było pobożnych. Ruszała się właśnie uroczysta procesya, drżały mury i kolumny marmurowe od grzmiącego głosu organów, trąb i bębnów, wtórujących tysiąco-głośnemu śpiewowi. Duchowieństwa różnego postępowało ze dwieście, pomiędzy którem odznaczali się świetnym ubiorem, gładkiemi obliczami i elegancyą młodzi po części kanonicy katedralni i inni dygnitarze, ozdobieni wstęgami, złotemi łańcuchami, u których błyszczały na piersiach duże krzyże, niektóre brylantami wysadzane. Celebrujący kardynał błyszczał cały od złota i srebra. Niesiono w kwiaty ustrojony posążek Madonny, chorągwie, obrazy i świece jarzące. Obłoki wonnych kadzideł mroczyły cały kościół ubrany w kwiaty i jedwabie z galonkami, a od mnóstwa światła i natłoku duszno było okropnie. Gdy celebrant wrócił do wielkiego ołtarza, umilkły na chwilę wszystkie głosy; wtem naraz huknęły bębny, zabrzmiały trąby, a całe zgromadzenie uderzyło w głos: Evviva Maria! Maria evviva! potem nieco już ciszéj zabrzmiała pieśń wesołéj melodyi:

Vergine eccelsa e pura
Che fosti preservata
Mai sempre immacolata
Ricordati di me itd.

Wracając ku przystani, zabłądziłem do pięknéj, szeroko na przestrzał otwartéj sali. Zewnątrz okrągła, na wysokim tarasie wśród miasta, zapełniona obrazami Świętych, popiersiami i portretami papieży, omalowana freskami wyglądała mi na kapliczkę; lecz ani ołtarza, ani światełka, ani też żywéj duszy. Wyszedłem przeciwnemi drzwiami na piękny taras, zagrodzony galeryą i obaczyłem kawałek miasta, głęboko podemną, a w głębi znowu port i morze. Odwróciwszy się, widzę w lewo przylądek S. Ciriaco, ukoronowany katedrą, a w prawo gmachy kwarantanny. Istne czary! Wtem nadszedł jakiś jegomość i ten mi powiedział, że jestem w ankońskiéj giełdzie. Śliczna.

Przed wieczorem raz jeszcze przeglądałem piękne widoki z placu katedralnego. Schodząc, spostrzegłem pod murem siedzącą młodą Włoszkę z dzieciątkiem uśpionem na łonie. Patrząc na morze, słodką mu śpiewała piosenkę; piękny to był wzorek dla malarza. — Chciałem się zbliżyć z prożbą o słowa piosenki, ażeby je zapisać; wtem posłyszałem świszczący głos Imperatora, oznajmujący, że za chwilę wypłynie z Ankony

Ku wyspie Korfu.

Prześliczny, prawdziwie włoski był wieczór, kiedyśmy wypłynęli z przystani. Księżyc i gwiazdy jaśniały całym blaskiem południowego nieba i oświecały gładkie Adryatyku lica, połyskujące jak srebrne zwierciadło, w którem po prawéj stronie widać było wysokie wybrzeża Kościelnego Państwa, a po lewéj wijące się bezustanku ogromne czarne smoki, ciałem do wężów podobne, ale skrzydlate, między niemi zaś jeden bardzo potworny, ziejący kłęby dymu, a raz poraz parskający ognistemi iskrami. Taki obraz przedstawiały trzy maszty ze zwiniętemi żaglami i wysoki komin parowca, odbite na falach rozbijanych kołami w drżące kręgi. —

Prócz łoskotu machiny i szumu wody nie słychać było innego głosu ani na niebie, ani naokoło. W kajutach i na pokładzie wszystko spało, prócz sternika i dwóch majtków na straży. Tylko na samym spodzie okrętu słychać było czasem czochranie i brzęk żelaza. Gdy się zbliżyłeś do miejsca, zkąd te głosy wychodziły — owiały cię wyziewy odurzające gorącem i ujrzałeś otwór głęboki, czarny; na samym jego spodzie czeluście ogniem ziejące, a czerwona łuna oświecała jaskrawo dwie czarne postacie podobniejsze do szatanów, niż ludzi, podsycające ustawicznie ogień. Istny to obraz piekła — owo miejsce, gdzie palą stósy węgli pod kotłami.

Nad ranem rozigrało się morze; wiatr przeciwny

wiał coraz silniéj, bałwany poczęły chlustać na pokład, zaczęło się znowu strasznie męczące kołysanie i drganie okrętu; prócz tego deszcz padał ulewny, majtkowie ślizgający się po pokładzie jak po lodzie, przeklinali niegodziwe powietrze; uciekłem do kajuty. Z pomiędzy firanek wściennych łóżek wyglądały kwaśne i słodyczą zemdlone twarze; w osobnym pokoiku słychać było głośne wyrzekanie kobiety i płacz małego dziecka. Za silnem uderzeniem bałwana w bok okrętu otworzyły się drzwi owéj komnatki; biednéj samotnicy potrzeba było ratunku; podałem jéj wody z winem. — Wyglądała okropnie, blada jak trup, zapłakana, z dzieciątkiem u piersi nie dającem się ukoić. Aby mnie przekonać, że to nie choroba morska tak okropnie zmieniła jéj postać, opowiedziała mi późniéj przyczynę swéj rozpaczy. Była rodem z Ankony, Włoszka, młoda bardzo i piękna; poszła za kapitana greckiego okrętu kupieckiego, mieszkającego w Korfu. Przed trzema tygodniami zawiózł ją mąż do jéj rodziców do Ankony, a w kilka dni potem odebrała wiadomość, że utonął gdzieś w Archipelagu. Rok dopiero przeżyła w szczęśliwem małżeństwie; teraz wraca z jedyną pociechą, dzieckiem i ciężkim towarzyszem smutkiem do domu w Korfu.

Mieliśmy zawinąć do Molfetty na wybrzeżu neapolitańskiem, lecz niepodobna było dla burzy zbliżyć się do téj przystani otoczonéj podwodnemi skałami, płynęliśmy więc daléj ku Brindisi. Ale i tam trudno było się dostać. Musieliśmy zboczyć z prostéj drogi i w małym pustym porcie naturalnym, otoczonym wysokiemi wzgórzami szukać schronienia i spoczynku, ale daremnie. Staliśmy przez pięć godzin, aby wszystko wytchnąć i posilić się mogło; lecz okręt tak szarpał łańcuchem kotwicy i obracał się na wszystkie strony, że mimo jeszcze silniejszy wiatr, wypłynęliśmy późnym wieczorem na otwarte morze. Okropna to była noc! — Zdawało się, że lada chwilę okręt się roztrzaska, albo go bałwany zaleją. Zaświtał dzień, fale się jeszcze pieniły; dopiero około południa uciszyło się, zbliżyliśmy się tedy ku wybrzeżom państwa Neapolitańskiego i stanęli szczęśliwie w porcie Brindisi. Płynęliśmy od Ankony 45 godzin długich jak dnie w więzieniu, opóźniwszy zwykłą drogę tylko o 11 godzin.

Na widok lądu wypogodziły się wszystkie oblicza; zielone a bujne rośliny nadbrzeżnych pagórków rozjaśniły oczy nasze weselem, piersi odetchnęły swobodnie miłem powietrzem. Przy wjeździe do portu znajduje się śliczna wysepka z latarnią morską i malowniczemi ruinami warowni z długim murem.

Nad samym środkiem półkolistego portu wznosi się wysokie wzgórze, po niem niedbale rozrzucone domy, a wśród nich ruiny wielkich warowni; to miasteczko portowe, wyglądające z daleka jak olbrzymia potłuczona czaszka, a długie języki skaliste daleko w morze zachodzące, powyżłobiane wodą w wielkie sęki i zęby, podobne jelenim rogom, które z owéj czaszki wyrastają. Dla tego też Grecy nazwali to miasto z dziwacznym portem Brentesion (jelenia głowa); Rzymianie zmienili to nazwisko w Brundusium, Włosi przetworzyli w Brindisi.

Miasteczko to liczyło niegdyś przeszło 100,000 mieszkańców; port był wyborny i silnie obwarowany, jak okazują szczątki. Dzisiaj bodaj ma 7,000 ludn.; port zamulony, a warownie w gruzach. Za rzymskich czasów ważną było stannicą dla wojsk i okrętów i wielce handlownem, jako leżące na sławnéj: Via Appia. Tutaj się schronił Pompejusz ścigany przez wojsko Cezara, obwarował silnie port i miasto a sam uszedł. — Juliusz Cezar zdobył je wkrótce potem przy pomocy życzliwych mu mieszkańców. Tutaj się układali o podział państwa Oktawian z Antoniuszem; tu umarł Wirgiliusz, gdy z Grecyi powracał do swojéj ojczyzny. Dzisiaj tych wszystkich pamiątek szukać trzeba w ruinach. Założycielami Brindisi byli podobno Kreteńczykowie.

W Brindisi pomnożyło się towarzystwo okrętowe o cztery kobiety w oryginalnych ubiorach wieśniaczek rosyjskich i mężczyzn w długim siwym płaszczu, jakie noszą rosyjscy żołnierze. Zbliżył się zaraz do mnie z zapytaniem, zkąd i dokąd. Ledwie odpowiedziałem po włosku, przemówił czystym polskim językiem, że jest rodem z Inflant, że zna Polskę, bo mieszkał około Warszawy i na Ukrainie jako kupiec, a teraz osiadł pod Petersburgiem. Miła to dla mnie była niespodzianka w tak odległéj od kraju okolicy słyszeć mowę ojczystą. Zawiązała się między nami rozmowa, a najstarsza z kobiet także się do nas przysiadła i zagadawszy pierwéj po rosyjsku, przemówiła potem po francuzku.

Zadziwiła mnie swoją erudycyą, bo z ubioru ubogiego i niebardzo czystego jéj i towarzyszek wnosiłem, że to wieśniaczki proste. Nowy mój towarzysz opowiadał: są to pobożne pielgrzymki do Jerozolimy. Ta, mówił, wskazując ładną dziewczynę, ale zababioną chustkami i brzydkim odzianą tołubem, jest mołodyca kozacka z nad Donu; druga znacznie starsza, bardzo charakterystycznych rysów twarzy, także Dońka z okolic Moskwy, prawdziwa Rosyanka; trzecia z saméj Moskwy, wdowa po bogatym kupcu; a owa stara, tamtych opiekunka, jest żoną kapitana carskiéj gwardyi, czernica z kijowskiego monasteru.

Dla czegóż tak uboga i niedbała odzież tych kobiet? zapytałem. Dla okazania pielgrzymiéj pokory, a potem dla uchronienia się od zdzierstwa po gospodach i od napaści w drodze. Kapitanowa już trzeci raz odprawia pielgrzymkę do Jerozolimy, a teraz była z towarzyszkami w Rzymie odwiedzić, jak się sama wyraziła, Ś. Piotra, mieszkającego w pysznéj cerkwi katolickiéj. Ze Rzymu odbyły po większéj części pieszo pielgrzymkę do Baru w Neapolitańskiem, gdzie w greckiéj cerkwi pokazują kości Ś. Mikołaja, patrona Rosyi, ciekące, według ich opowiadania, po dziś dzień cudowną wodą, która leczy wszelkie niemoce. Z Baru musiały się udać do Brindisi, aby wsieść na okręt płynący do Jaffy. — W Barze znalazły tego towarzysza, który tam także jako pielgrzym zachorował i przez 4 miesiące leżeć musiał na ciężką neapolitańską febrę.

Miałem tego towarzystwa do saméj Jaffy, często zapraszany na herbatę gotowaną na samowarze, jakiéj w tych stronach wcale nie znają.

Wypłynęliśmy z Brindisi o zachodzie słońca z silnym wiatrem, który nam napędził burzę z grzmotem, błyskawicami i deszczem. Wrzało całe morze i kipiało falami; bujaliśmy znowu jak po górach i dolinach przy blasku pysznych błyskawic i najwspanialszéj w świecie muzyce grzmotu na niebie, ryczenia bałwanów morskich i wycia wichrów wokoło. Tak używaliśmy tego wszystkiego aż do północy. Potem uciszyło się nagle; byliśmy już na morzu Jońskiem. Księżyc zajaśniał z druchnami w całym blasku; ukazały się sine wybrzeża lądu Albanii z wysokiemi górami i daleka jeszcze wyspa

Korfu, podobna w świetle nocnem do kłębów czarnych chmur spoczywających na wodzie. Okręt pośpiesznym lotem doganiał zmudzonych w czasie burzy godzin, za jego tramem płonęła bieluteńkiem światłem fosforycznem szeroka droga posiana milionami drobnych, jasnych gwiazdek; zaprawdę, droga mleczna niebieska na wodę spadła. Z pod kół tryskały piany iskrzące się białym ogniem. —

Nadzwyczaj piękne to zjawisko tem osobliwsze, iż się zwykle ukazuje wtenczas, kiedy wodę rozbija lub trze jakie twarde ciało. A więc widać je za tramem i po bokach okrętu, najświetniejsze zaś pod kołami. Jeźli się wiosłami uderza wodę, tryskają krople błyszczące, jak deszcz ognisty; lecz najpyszniejszy przedstawiają widok bałwany ciskane burzą na skały nadbrzeżne. — Wydaje się, że biją kaskady białego ognia, posiane gęsto iskierkami świetniejszego blasku. Często patrzyłem na to cudne zjawisko podczas pogodnych i ciepłych nocy na morzu Adryatyckiem, w Archipelagu greckim i na wybrzeżach Syryi.

Naturaliści utrzymują, że ta fosforycznie świecąca materya wydziela się częścią z żywych zwierzątek morskich i pewnego rodzaju wodorostów; częścią ze zgniłych zupełnie i na atomy rozdzielonych ciał zwierzęcych i roślinnych, zwłaszcza ryb. Fosforyczny blask ten udziela się wodzie, która za poruszeniem świeci. Dowodząc tego twierdzenia, powiadają, że kléj czyli śliz pokrywający ciało ryb dużo zawiera w sobie materyi fosforyzującéj, że ciągle się wydziela i jako lekki po wierzchu wody rozpływa, wielkie przestrzenie zaprawia cząsteczkami niewidzialnemi gołemu oku. — Daléj wyliczają wiele zwierząt, które już za życia świecą mocno, jak np. muszla świdrująca (Pholas), mnóstwo gwiazd morskich i polipów; robaczki z rodzaju Nereid do stonogów podobne. Szczególniéj jeden rodzaj polipów tak jasno świeci, że go ognikiem (pyrosoma) nazwano. Prócz tych są fosforyzujące raczki, ryby i wymoczki; wreszcie roślinki, jak np. oscillaria phosphorea, bardzo maleńki wodorost. Najwięcéj jednak świecącéj materyi dostarczają morzu zgnilizny zwierząt i roślin, nawet tych, które za życia nie świecą. Zjawisko to nie jest jeszcze dokładnie zbadane, bo w strefie podrównikowéj widziano morze świecące na parę set mil wzdłuż i wszerz, choć zupełnie spokojne. Indziéj widziano wodę bardzo jasno świecącą, a nawet przez mikroskop nie dopatrzono ciał światło wydzielających.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Najnowsze publikacye cudzoziemców odnoszące się do historyi polskiéj.

Ruch piśmiennictwa za granicą, o ile się naszéj historyi dotyczy, w ogóle mało naszéj publiczności znany; a przecież niektóre z tych publikacyi wypełniają częstokroć próżnią w naszéj własnéj historyografii. — Niezawodnie trzeba znać przedewszystkiem to, co własne; ale kto ma uniknąć jednostronności, powinien się troszczyć i o sąd obcy. Tak jak w życiu prawda jest wszędzie, ale nigdzie nie cała, tylko rozrzucona i rozbita w odłamy i odłamki; tak i w historyi nie objawia się ona cała w jednem miejscu i w jednym czasie, ale ma swój rozwój i kształty różne; żaden historyk, choćby najsumienniejszy, nie wypowie jéj całéj i niezmąconéj, ztąd całość może być tylko zbiorową. Z tego względu uważaliśmy za potrzebne zwracać uwagę publiczności na dzieła historyczne o Polsce przez cudzoziemców pisane. Tyczą się one wprost dziejów Polski, lub pewnych prowincyi należących do składu dawnéj Rzeczypospolitéj. I tak przeszłego roku ogłosił w Lipsku Dr. Caro rozprawę historyczną o elekcyi Zygmunta IIIgo na tron polski. Autor został podobno wezwany do kontynuowania historyi polskiéj Roepella, któréj tom 1szy ukazał się już w r. 1840 w Hamburgu w zbiorze Heerena i Ukerta (Geschichte der europäischen Staaten). Nie wiele historya polska na doktorze Caro zyska, a wiele traci na prof. Roepellu. — Rozprawka o elekcyi Zygmunta IIIgo napisana jest z niedokładną znajomością źródeł współczesnych i z nieprzychylną nam pretensyonalnością.

Do tegoż samego zbioru historyi państw europejskich napisał znaczną część historyi szwedzkiéj Geyer. Kontynuacyą tego dzieła jest Karlssona historya Szwecyi, bardzo sumiennie i krytycznie opracowana i doprowadzona do Karóla X. Stanowi ona w wielu częściach bardzo cenne pomocnicze źródło do historyi polskiéj. Inny uczony szwedzki napisał osobno historyą Karóla XIIgo w 5ciu tomach. Znamy ją z tłómaczenia niemieckiego: „Lebensgeschichte Karls XII, Königs von Schweden, von Fryxell; deutsch v. Rohrdanz. Braunschweig 1861.“ Fryxell czerpał materyały głównie z archiwum państwa.

Do tegoż zbioru należy historya Rosyi przez prof. Herrmanna, doprowadzona już w 6tym tomie do podziałów Polski. Zastrzegamy sobie o tem dziele osobną zdać relacyą; na teraz wspomnimy o innéj tegoż profesora publikacyi tyczącéj się historyi polskiéj.

„Die österreichisch-preussische Allianz vom 7 Februar 1792. Gotha 1861“ prz. Herrmanna, prof. w Marburgu. Jest-to polemika przeciw monachijskiemu koledze prof. Syblowi, do któréj powodem była następująca okoliczność. Prof. Herrman nadesłał do peryodycznego, przez Sybla wydawanego, pisma historycznego („Historische Zeitschrift“) artykuł tłómaczący politykę Leopolda IIgo w obec Polski i alians jego z Prusami w odmiennym sensie, jak Sybel w II tomie obszernego dzieła historycznego: „Geschichte der Revolutionszeit.“ Gdy zaś redaktor Sybel zwrócił artykuł autorowi, więc tenże osobno go teraz wydaje pod tytułem na czele wypisanym. Plan dziełka i cel polemiki widać z następującego miejsca: „Powszechnem, jeszcze przez najnowszych przedstawicieli czasów rewolucyjnych popieranem mniemaniem było, że rzeczywiście było zamiarem Austryi i Prus zachować udzielność polskiego narodu i całość granic na podstawie ustawy z 3 Maja 1791, a mianowicie, że alians berliński z d. 7go Lutego 1792 podjął to trudne zadanie, że więc przeciwna do powtórnego rozbioru Polski zmierzająca polityka dopiero po śmierci Leopolda cesarza ustalać się zaczęła. Inny wszakże przedstawia się widok rzeczy, skoro bliżéj przypatrzymy się faktom i powikłaniu ich z ogólną europejską polityką. Drugi podział Polski nie był skutkiem późniejszego odstąpienia od intencyi aliansu z 7go Lutego, ale raczéj skutkiem tego, że obydwa niemieckie mocarstwa nie mogły się porozumieć względ-

dem systemu polityki przeciw Rosyi, i że nawet celem wspomnionego aliansu nie było nic innego, jak wzajemne zbliżenie się aliantów do pryncypiów reprezentowanych przez Rosyą." — W tym więc sensie wykłada Herrmann, że Leopold podszedłszy posła pruskiego, ulubieńca królewskiego Bischoffswerdera, zniweczył zamiary projektowanego aliansu z Anglią i Holandyą, a zapewniwszy aliansem Lutowym współdziałanie Rosyi w sprawie Polski, przygotował tem samem drugi rozbiór. Leopolda zaś główną intencyą było, jak autor prawi, w sojuszu z Rosyą i z obałamuconemi Prusami wytężyć wszystkie siły reakcyi absolutystycznéj przeciw rewolucyi zachodu. Tak więc, zdaniem autora, drugi rozbiór Polski był skutkiem ogólnéj europejskiéj polityki. — Dołączone są do broszury w angielskim texcie podane depesze i papiery angielskiego ambasadora w Prusiech Ewarta i wyjątki z listów Schönfelsa we Wiedniu.

„Geschichte der Ostseeprovinzen Liv-, Esth- und Kurlands von Otto v. Rutenberg (Historya nadbaltyckich prowincyi: Inflant, Estonii i Kurlandyi), 2 tomy, w Lipsku 1859. Drugi tom wyszedł 1861. Historyografia polska nie może się dotychczas poszczycić monografią o tych ziemiach; dotąd najwiarogodniejszą historyą Inflant były Gadebuscha dzieje inflanckie (Liefländische Geschichten) wraz z trzechtomową krytyką o historykach inflanckich (Liefländische Bibliothek); najnowszą zaś i bardzo uczoną historyą Inflant i przyległych ziem jest dzieło A. Richtera: „Geschichte der dem russ. Kaiserthume einverleibten Ostseeprovinzen," w Rydze 1857 i 58. Rutenberga dzieło nie może Gadebuscha zastąpić, bo jest doprowadzone tylko do poddania się Inflant Polsce, ani też w ogóle nie wyrównywa wartością i bogactwem szczegółów historyi Gadebuscha; jednakowoż zasługuje ono na wzmiankę choćby z tego powodu, że Rutenberg jako Kurlandczyk gruntowniéj i pilniéj badał przeszłość Kurlandyi. Dziwna rzecz, że prowincye nadbaltyckie Prus, Inflant, Estonii i Kurlandyi winny swoje znaczenie historyczne w większéj części dwom niemieckim zakonom rycerskim: zakon Krzyżaków w Prusiech i zakon Kawalerów mieczowych w Inflantach wprowadziły ziemie te dotychczas mniéj znane w świat europejski; obydwa zaś zakony złączone i zlane w jedno uległy powoli rosnącéj potędze Polski złączonéj z Litwą; najwybitniejszą więc częścią historyi tych ziem nadbaltyckich jest historya dwóch zakonów rycerskich. Rutenberg nie ma sympatyi ani do jednego, ani do drugiego. Przytaczamy dla stwierdzenia téj antypatyi jeden z najcharakterystyczniejszych ustępów: „To zawojowanie (Prus przez Krzyżaków) rozpoczętem zostało w ten sam sposób, jakeśmy to widzieli w Inflantach, tj. z podobnemi okrucieństwy i z podobnem wiarołomstwem. Najwięcéj wziętości pomiędzy Prusakami w ziemi Chełmińskiéj zażywał pewien naczelnik czyli książę Pipin. Balk przekupił, czy też innym sposobem namówił sobie jego siostrzeńca i opanował z pomocą tego wiarołomcy nasamprzód pewną twierdzę, napadł na załogę w głębokim śnie pogrążoną, wyrznął ją w pień, a potem Pipina samego zabił. Tenże Pipin, odpłacając się za pomordowanie śpiących, kazał był okrutnie męczyć pochwytanych Niemców; za to przywiązano go do końskiego ogona i zawleczono do twierdzy Torunia i powieszono na drzewie straszliwie sponiewieranego. To była przedmowa do księgi zawojowania Prus." Rutenberga dzieło zaleca się bezstronnem poglądem i formą przystępną.

Podobnie przystępnie napisane jest małe dziełko pod tytułem: „Rügensch-Pommersche Geschichten," część I. Riga von Otto Fock, wyszło w przeszłym roku w Lipsku. Obejmuje historyą wyspy Rugii pod względem archeologii i wypadków politycznych i sięga do r. 1168; streszcza materyał rozrzucony w dyplomataryusza Kosegartena (Codex Pomeraniae diplomaticus) i w obszernych dziełach Bartholda (Geschichte Pommerns u. Rügens) i Giesebrechta (Wendische Geschichten). — Uczone kontrowersye rozbierane są w dodatkach na końcu; jedną z tych kwestyi jest także: czy dawniejszych mieszkańców Rugii i Pomorza nazywać Wendami, czy Germano-Wendami? Uczeni bowiem niemieccy zrobili odkrycie, jakoby od niepamiętnych czasów przechowały się na tem terytorium szczątki germańskich plemion i że utaiły się pomiędzy napływającą Słowiańszczyzną i dopomogły przy kolonizacyi z Niemiec w 13 wieku do wygórowania nad pierwiastkiem słowiańskim. Temu dziwacznemu przypuszczeniu oparł się najprzód Kosegarten w uwagach do swego znakomitego dyplomataryusza dla ziem pomorskich, a za nim poszedł Fock, wykazując z nazwisk miejsc napotykanych w dyplomatach najdawniejszych i z współczesnych kronikarzy niedorzeczność nazwy Germano-Wendów. Nie byłby Ś. Otton, który był Niemcem, nawracając Pomorzan brał ze sobą z Polski tłómaczów.

Więcéj wartości i więcéj dla nas interesu ma dzieło następujące: „Des Olmützer Bischofes Stanislaus Pawłowski Gesandtschafsreisen nach Polen (1587—1598) von Eduard Edlen von Mayer." Wien 1861. — Wydawca czerpał z archiwum biskupa ołomunieckiego w Kromieryżu i jedynie ze zbiorów tegoż archiwum wydał szereg dokumentów odnoszących się do poselstw biskupa Pawłowskiego, a głównie do elekcyi Zygmunta III i arcyksięcia Maksymiliana. Treść tych dokumentów i nader ciekawe excerpta z archiwum cesarskiego powiązał wydawca w opowiadanie wypadków bezkrólewia i rokowań z arcyksięciem Maksymilianem. Niepodobna bez interesu czytać tego wstępu; nawet historyk bliżéj obeznany z tą epoką znajdzie tu rzeczy nowe i pouczające, znajdzie szczegóły nieznane o zabiegach domu rakuzkiego, o słabości króla Zygmunta IIIgo i nowe dowody przewagi Zamojskiego. Każda publikacya odnosząca się do téj epoki jest świeżym liściem do wieńca laurowego dla tego przemożnego człowieka, który ogromnym wpływem swoim zda się przedłużył epokę świetności i potęgi narodowéj. — Wstęp składa się z 3 części: pierwsza idzie aż do dokonania podwójnéj elekcyi Zygmunta i Maksymiliana, druga aż do bitwy byczyńskiéj, trzecia obejmuje wiadomości o uwięzieniu Maksymiliana, o układach bendzińskich i ich następstwach. Dokumenta obejmują 37 numerów, z których wielka część dotychczas nigdzie nie była drukiem ogłoszona. Dzieło to zajmie wiele ważniejsze miejsce w historografii polskiéj, aniżeli rozprawa Dra Caro, a nawet ją umorzy. Szkoda tylko, że wydawca, w najnieznośniejszy sposób przekrzywia i zeszkaradza nazwiska polskie; widać, że oprócz Heidensteina nie zajrzał do żadnego źródła, a nawet i z Heidensteina nie sprawdzał nazwisk. Jako osobliwość przytaczamy następujące miejsce: na str. 71 pisze Hanusz Ostrogski, wojewoda Wochliński; książę Mikołaj Radziwił, wojewoda

Nowogrodzki; książę Pruński; kasztelan gnieźnieński Komorowski. Pierwszy i trzeci średnik pomnażają grono osób o dwie, a Zborowski przedzierzgnął się w Komorowskiego.

Bibliothèque des archives diplomatiques. Pod tym tytułem ogólnym wychodzi w Paryżu u Amyota serya zbiorów, obejmujących dokumenta dyplomatyczne rozmaitego rodzaju. Zbiór tyczący się Polski ma osobny tytuł: „Receuil des traités, conventions et actes diplomatiques concernant la Pologne 1762—1862 par le comte d'Angeberg (pseudonim), 1862, zawiera 1172 stronnic w osemce. Sześćset ośmdziesiąt dokumentów, które dzieło obejmuje, podzielono na 3 części: 1, Polska mniéj więcéj niepodległa i walcząca przeciw podziałom (1762—1795); 2, emigracya polska łącząca się z Francyą za rzeczypospolitéj, za konsulatu i za cesarstwa (1795—1815); 3, Polska pod panowaniem trzech mocarstw zaborczych (1815-62). Wydawca powodował się głównie dwoma względami: starał się być bezstronnym, więc przytacza odezwy, manifesty i pisma najrozmaitszych partyi i stronnictw, a potem chciał dać publiczności zbiór zupełny i dla tego umieszczał rzeczy i mniejszéj wagi; przecież pominął i ważniejsze. — W każdym razie jest-to publikacya bardzo ważna i w swoim rodzaju jedyna: nietylko historyk ścisły znajdzie w niéj bogactwo materyału, ale i statysta i w ogóle każdy troszczący się o głębsze zbadanie najnowszéj epoki naszéj historyi.

O innych tego rodzaju nowszych publikacyach doniesiemy w późniejszych numerach.

Niektóre szczegóły z życia i listy WŁAD. SYROKOMLI czyli LUDWIKA KONDRATOWICZA.

Kondratowicz urodził się w ubogiéj szlacheckiéj rodzinie w gubernii Mińskiéj, powiecie Słuckim, na Polesiu, w majątku Smalnowie dn. 17 Września 1822 r. Pierwsze nauki odbył w szkole powiatowéj nieświeżkiéj, utrzymywany przez XX. Dominikanów, gdzie słuchając wybornego wykładu literatury u Szymona Czarnieckiego, od dziecka nabrał już ku niéj zamiłowania. Od r. 1836—1842 uzupełniał dalsze kształcenie się w naukach rozmaitemi środkami, na jakie tylko mierny stan funduszów rodzicielskich dozwalał. W r. 1843 pracował jako bióralista w Nieświeżu w głównym zarządzie dóbr ks. Wittgensteina, gdzie otoczony staremi zabytkami świetnego domu Radziwiłłów, zamiłował się w historyi i starożytnościach krajowych. W Kwietniu w r. 1844 ożeniony, przeniósł się na stały pobyt do majątku Załucza, nieopodal od miasteczka Mira i tu dzielił swój czas pomiędzy gospodarkę a literaturę, w któréj już jako pisarz począł występować z powodzeniem. Był współpracownikiem Athenaeum, Pamiętnika naukowo-literackiego itd. W r. 1852 dotknięty stratą trojga dzieci, opuścił Załucze, przeniósł się do Wilna, w okolicach którego dzierzawi małą wioskę Borejkowszczyznę.

Resztę uzupełniają listy jego.

Zacny Panie!

Niegodziwie wypłacam się za nieocenioną Twą dobroć, gdy listowi Twojemu daję leżeć bez odpowiedzi przez trzy miesiące. Podróże, praca, niezdrowie, nadzieja zawiedziona, że Was odwiedzę, przykre wrażenia, jakie się od kiepskiego świata odbierały — oto przyczyna, dla któréj moi dobrzy korespondenci musieli tęsknić tak długo za mojemi listy. Teraz za to wynagrodzę sobie dobrowolnie zaniedbaną przyjemność, a Wam, zacny Panie, aż do uprzykrzenia gadatliwe listy posyłać będę. A naprzód poznajomić nam się lepiéj wypada. —

Wielkie serce, złoty humor, przygody życia Twojego: to wszystko było mi już znane nieco. Teraz w Mińsku poznałem się z Dybowskim, agronomem, dobrym Twoim znajomym, który uprzyjemniał mi cały wieczór opowiadaniem o Tobie, Twéj Małżonce, niedawnéj przygodzie Twéj itd. Do tylu danych, dodawszy mój instynkt poetycki, cóż za dziw, że Was poznam w gromadzie tysiąca ludzi. Pozostaje mi teraz zaspokoić Twoją chęć dowiedzenia się o mnie, moim domu, dziatwie. — Oto urodziłem się w r. 1822 odbyłem wychowanie w szkołach prowincyonalnych, potem wałęsałem się po drodze żywota lat kilka; potem się w roku 1844 ożeniłem; jednocześnie wziąłem w rękę to oto pióro (szczęście moje... zgubę moją!) i osiadłem stale na wsi, dzierzawiąc od Xcia Wittgensteina Załucze. W przeciągu tych lat ośmiu, Bóg dobry dał mi napisać z dziesiątek tomów, udarować trojgiem dzieci i 350 rublami śrebrnemi czystego zysku z honorariów księgarskich, które składają cały mój majątek; bo reszta mych kapitałów w pracy, nadziei, gruszkach na wierzbie itp. zabezpieczeniach, w téj chwili nie jest do zrealizowania na gotowiznę. Żyjemy w ciszy, z książkami, kwiatami, dziatwą, z dobremi ludźmi i ze świętą golizną, którą pojmuję z jéj wdzięcznéj poetycznéj strony tak dalece, że ile razy fortuna drogą sukcesyi po wujaszku, lub sowitszego honorarium błyśnie mi przyjaźniéj w oczy, staram się korzystać z jéj darów zawzięcie, aż znów wrócę do mojego normalnego stanu finansów, — do zera, które jest figurą globu, symbolem wieczności, aureolą mojego oblicza, czarodziejskiem kołem (circulus vitiosus), w którego środku stoję bezpieczen od pokus: pychy, egoizmu, lenistwa. Z konieczności tedy jestem cnotliwym, lubo niektóre grzeszki, a przedewszystkiem święte lenistwo, bardzo się ponętnie do mnie uśmiechają. Nieraz wyobrażam sobie, że jestem wielkim panem; nic nie robię, jeno leżąc pod cieniem klonu z hawańskiem cygarem, czytam od poczty do poczty gazety, żurnale, romanse; a jeżeli raczę pióro wziąść do ręki, to tylko dla pisania miłych dla serca, przyjaznych listów... (o wtedy miałbyś Pan co tydzien list odemnie) tylko dla wylewania na papier poetyckich pomysłów. Takie to marzenia nieraz się do mnie wdzięczą, ale nic z tego... wiem, czyje to figle.. Spiritus! i za dykcyonarz łaciński i do pracy, a duch kusiciel znika. Ale wracam do dalszego kreślenia obrazu mojego żywota. Żona moja, kilka laty odemnie młodsza, z całą rezygnacyą znosi swą godność żony poety i w dobréj wierze upaja się dymkiem chwały swojego mężula. — Wprawdzie wymyka się jak może, ilekroć z jakim gotowym utworem staję dla odczytania go, ale raz złapana gotowa cierpliwie wysłuchać, a nawet sama deklamować moje gawędy; tego tylko w głowie po-

mieścić nie może, dla czego pisarz tak wzięty, tak pochwalony, tak małe bierze honoraria. Trudna na to odpowiedź.. słusznie, czy niesłusznie, trzeba jęczeć na chciwość nakładców, bo inaczéj we własnym domu zachwieje się wiara w potęgę mojego talentu. Dalszemi personażami naszéj rodziny są: córka Marynia, panna lat 4 i pół, dobrze już składająca sylaby, syn Władysław 3-letni kawaler, rokujący, iż z laty będzie ozdobą Mirskich jarmarków dla zamiłowania koni, psów, biczów — a naostatek półroczne niemowlę Wiktorya, wzór łagodności, ciszy i słodyczy charakteru. Otóż wśród tych osób rozegrywa się dramat mojego życia. Rzecz dzieje się na wsi, w moim gabinecie do pracy, albo ogródku kwiatowym, na drugim planie widać kuchnią, z któréj wrzaski przeszkadzają mi pracować i marzyć — stodołę, co mi nie daje chleba — i ojciec Niemen, pasterz mnogich łodzi, którego kryształowa fala niewyczerpanie udziela się do herbaty, co jéj taką moc pochłaniam. Słowiki Nadniemeńskie z towarzyszeniem chrapliwego chruściela śpiewają mi w antraktach. — Otóż ze wszystkiemi dekoracyami teatr, gdzie się moja drama odegrywa. Kurtyna się zwija —

Sza!! uroczyste milczenie...
Patrzajcie zdumione ludy!
Oto poeta na scenie.
Zgarbiony, blady i chudy —
Ubrany w kapotę starą,
Zwolennik myśli i ducha —
Pióro mu sterczy z za ucha,
W ustach groszowe cygaro,
Ręce krzyżuje u łona,
Pierś atramentem zbroczona;
Skinął i stanął jak wryty,
Wzniosła się orla źrenica,
Mierzy niebieskie błękity,
Gapi się w tarczy księżyca. —
Jak Hamlet spojrzał ukosem,
Śmieje się, żżyma się, sroży,
Sza... coś zamruczał pod nosem:
O! arcydzieło utworzy!
Bije myślami śmiałemi
Szturm do nieba, do ziemi.
Cóż to, dla czego twarz młoda
W fałdy gniewliwe się zbiera?
Rymu skalista przegroda
Wstrzymała pęd bohatera...
Chce mówić i głos podnosi,
Lecz mu coś więźnie we krtani,
Wieszcz się z końcówką tormosi...
Plaudite cives Romani!

Załucze dnia 4|16 Lipca 1851. *Syrokomla.*

Serdecznie dziękuję za miły list z dn. 12go b. m., który temi dniami otrzymałem przez księgarnię Zawadzkiego. Istotnie, adresowanie na jednę z księgarni wileńskich ułatwi zawsze dojście listu.

Dziękuję za przesłanie biografowi Paryżskiemu listu mojego do drogiéj mi pamięci Augusta; nie pamiętam, co i kiedy doń pisałem o szczegółach mojego życia, ale nie znając osobiście, takem dobrze znał mojego szanownego korespondenta, iż pewien jestem, żem przed nim musiał otworzyć całą duszę; — list więc ów będzie dobrym materyałem. Od owego czasu (około czterech lat) w biednem tem życiu zaszły nie wielkie, ale stanowcze zmiany. Dotknięty stratą trojga dzieci, które w jednym tygodniu pomarły, porzuciłem r. 1853 Załucze, zkąd pisywałem do państwa, a którego widok rozraniał co moment zbolałe serce i przeniosłem się zrazu do Wilna, potem o 2 mile od stolicy Litwy, do małéj dzierzawy; a tak mieszkając wpół na wsi, wpół w mieście, bojuję z życiem i jego materyalnemi potrzebami. Zarzuty czynione mi przez gazeciarzy warszawskich, że pracuję pospiesznie i drukuję wiele, są w znacznéj części sprawiedliwe; ale położenie moje, wkładające święty obowiązek utrzymywania trzech domów rodzinnych, znagla mnie do pospiechu. Rodzice moi skutkiem niegodziwości zarządu dóbr Wittgensteina, przyszli do zupełnego ubóstwa; zamężna siostra moja otoczona dziatwą także wymaga pomocy; ja sam temu podoływać muszę, a z natury jestem bezładnio nieumiejący obchodzić się z groszem; a tu na Litwie skutkiem kilkoletnich nieurodzajów taka drożyzna, że trudno sobie dać radę. Muszę jak galernik, przykuty do taczki drukarskiéj, pracować pospiesznie; nie mogę jak Horacyusz po dziesięć lat wygładzać mych utworów, bo toby znaczyło skazać na śmierć z głodu 11 osób mojéj rodziny. Dosyć o tem. —

Słyszałem już o atakach Przeglądu Poznańskiego. Co począć? to już kwestya zasad, których ani redakcya, ani ja nie zmienimy. Nie zostanę nigdy zwolennikiem pietystyczno-arystokratycznych opinii; cieszę się przynajmniéj, że ludzie co na mnie napadają, są ludzie światli i dobréj wiary; że zatem ataki muszą sumiennie pochodzić z ich przekonania, nie jak w Warszawie, gdzie polemika dziennikarska oparta na myrmidońskich punktach wyjścia, człowiekowi, co jeno Bogu duszę winien, zadaje dotkliwe ciosy. Bóg z nimi! Artykuły w Gazecie Poznańskiéj czytuję niekiedy, bo Gazeta lubo straszliwie cięta przez cenzurę, do nas dochodzi. Mamy w tym roku zbytek dawniéj niedozwolony, mamy Czas Krakowski, Nowiny Lwowskie, a do mnie przekrada się czasem Szkółka niedzielna, któréj mi poczciwy Żupański dostarcza.

Miły symptomat objawia się tutaj; to powszechne zajęcie, jakie literatura obudza. W Wilnie mnoży się liczba księgarni, kilka drukarń w ciągłéj pracy, piszący nie umierają z głodu w literalnem znaczeniu wyrazu; szkoda tylko, że nas tak mało, że koterye i koteryjki rozrywają nasze szczupłe kółko. O biedna naturo polska! — kiedy duch scysyi przestanie bróździć w twéj pięknéj duszy!

Dziękuję za słówko współczucia o moich pieśniach; nie wątpię, że są szczere te wyrazy; nie wątpię, że się rozumiemy z Panią, bo naszym wspólnym tłómaczem jest — cierpienie.

Szczęść Boże w zacnym trudzie, dodawaj sił tak pożytecznie na wspólne dobro obracanych.

Cześć najwyższą, przychylność najżyczliwszą proszę przyjąć od

Wł. Syrokomli.

Borejkowszczyżna pod Wilnem
19 Października 1856.

Z PRZESZŁOŚCI

szkice i obrazy: artykuły feuiltonowe Józefa Łepkowskiego, Kraków 1862. W drukarni Czasu, do nabycia w księgarni D. E. Friedleina.

Pisma czasowe pochłaniają dziś do tego stopnia prace pisarzy naszych, że cała nasza bieżąca literatura w czasopismach prawie się mieści. Utrudnia to poniekąd jéj znajomość, bo mało jest takich, coby wszystkie pisma trzymać i czytać byli w stanie. Téj niedogodności mogą tylko zaradzić z jednéj strony jak najliczniéj po miastach i prowincyach zakładane czytelnie wszystkie pisma czasowe utrzymujące — a z drugiéj powtórne odbijanie ważniejszych prac lub szeregu artykułów pewną całość tworzących w osobnych zbiorach. Tego rodzaju publikacyą jest zwyż wymieniona książka p. Łepkowskiego. Autor wymienia w niéj stokilkadziesiąt swoich rozpraw treści archeologicznéj i czasopisma, w których ogłoszone zostały; z tych jednakże tylko 14 w niniejszym zbiorze powtórnie odbić kazał.

Dzielą one wszystkie zalety i wady dzisiejszéj literatury feuiltonowéj. Wszystkie nauki stały się przystępniejszemi i powszechniejszemi w skutek wykładania ich w czasopismach. P. Łepkowski mianowicie wielką zjednał sobie zasługę w obeznaniu publiczności naszéj ze wszystkiemi gałęziami archeologii krajowéj, z wszelkiego rodzaju pomnikami, zabytkami, zwyczajami i obyczajami narodowemi, które w skutek tego nabierają życia i znaczenia, wzbudzają dla siebie interes i zamiłowanie.

Osiągnienie zaś tych rezultatów jest dla nas żywotną kwestyą, pomimo przeciwnego zdania ludzi jednostronnych i powierzchownych, którym archeologia wydaje się czczą zabawką oschłych literatów. — Dopóki nie nauczymy się szanować dzieł, zwyczajów, pomników i grobów najdawniejszych i najbliższych naszych przodków, dopóty nie możemy mieć nadziei, ażeby nasze najszlachetniejsze i najzbawienniejsze przedsięwzięcia nietylko późna, ale i najbliższa potomność, a nawet współcześni cenić i dla dobra publicznego wyzyskiwać potrafili. Stan cmentarzy jest zawsze wiernym obrazem społeczeństwa grzebiącego na nim swych krewnych, przyjaciół i ludzi zasługi. Gdzieindziéj są cmentarze ozdobami osad i najmilszemi miejscami pobytu ich mieszkańców — u nas są one zwykle dzikiem polem, unikanem powszechnie miejscem dla swéj zgrozy, nieładu i niedbalstwa. To też podobnie rzecz się ma i z naszem społeczeństwem. Najlepsze, najzbawienniejsze prace, dzieła, instytucye nie przynoszą odpowiednich korzyści, nie wywierają należytych wpływów, bo publiczność je lekceważy. Każdy występuje u nas z pretensyą, ażeby uwzględniano i ceniono to, co on robi, ale mało kto uwzględnia i ceni to, co inni czynią. U nas popłacają niestety tylko artykuły i ludzie mody. Dla cichéj, skromnéj a skrzętnéj pracy, choćby najzbawienniejszą była, nie mamy, jak się zdaje, żadnego zmysłu. Tam większym jest obowiązkiem ludzi i organów publicznych śledzić i podnosić tego rodzaju zasługi, ażeby im zjednać należyte uznanie i wpływ pomiędzy publicznością.

P. J. Łepkowski przyczynił się wielce swą literacką działalnością do podniesienia, poznania, uczczenia i zamiłowania tego wszystkiego, co na to zasługuje, i zabezpieczył nam od zatraty i zmarnowania niezliczoną masę skarbów przeszłości i przyczynił się do zużytkowania wielu sił i potęg niespostrzeżonych i nieocenionych. Jego rozprawy świadczą o wielkiem zamiłowanin i znajomości rzeczy ojczystych, lubo każda pojedyńczo wzięta nie zawsze bywa ściśle naukową, wyczerpującą i wykończoną. — Z artykułów w pomienionym zbiorze umieszczonych najmniéj odpowiadają stanowisku i wymagalnościom naukowym rozprawy pod tytułem: Święta kościelne w związku z porami roku; o urzędowych i rodowych tytułach w Polsce; ubiory w Polsce: czytelnik nie znajdzie w nich zadowalniającego wyjaśnienia tego, co napis obiecuje. Bardzo nawet pouczające artykuły, jak np. Sukiennice Krakowskie, Kościół Najśw. Maryi Panny w Krakowie, Sztuka u Słowian, szczególnie w przedchrześciańskiéj Polsce i Litwie: nie dają dokładnego opisu, całkowitéj historyi i wyjaśnienia rzeczy, o któréj mowa. Lecz to się tłómaczy tą okolicznością, że prace były wykonywane z okazyi, dla feuiltonu czasopisma, gdzie nie było ani czasu, ani miejsca do wykończenia takowych. Gdyby zamiast pisania tych feuiletonowych rozpraw p. Łepkowski był wypracował dzieło o archeologii krajowéj, do czego mu na wiadomościach ani zdolnościach nie zbywa, albo o każdym przedmiocie osobną napisał broszurę, w takim razie byłyby jego prace z pewnością wolne od pomienionych wad i niedostatków; ale w takim razie nie byłyby może tyle przyniosły pożytku naszemu społeczeństwu, jak przez umieszczanie ich w czasopismach przy dogodnéj sposobności — boby je byli nabywali i czytali tylko fachowi archeolodzy lub historycy, których jest u nas bardzo mało. Zresztą ta droga jest panu Ł. jeszcze otwartą i bynajmniéj go od niéj odstręczać nie myślimy. I owszem! Kiedy już publiczność przysposobił i zainteresował dla wiadomości tego rodzaju, mógł i powinienby jéj dać pewną całość, systematycznie ułożoną i wykończoną.

W Poznaniu u L. Merzbacha wyszło w 2 tomach tłómaczenie Pamiętników Piotrowskiego pod tytułem: Meine Erlebnisse in Russland und Sibirien waehrend meines Aufenthalts daselbst, meiner Gefangenschaft und Flucht. 1841 46. Rufin Piotrowski. Nach dem Polnischen von L. Koenigk. 1862. Z znakomitą przedmową tłómacza, wyjaśniającą w obec publiczności niemieckiéj polityczne stanowisko Polski i Polaków.

U J. Żupańskiego w Poznaniu wyszła broszura p. Zychlińskiego pod tytułem: Rzut oka na kwestyą narodowości. Jest-to, jak się Dziennik Poznański wyraża, historyozoficzna rozprawa, przy końcu także narodowość polską uwzględniająca.

Tamże wyszły także Pamiętniki króla Poniatowskiego z francuzkim obok textem.

W Wrocławiu u H. Skutsch'a (dawniejszéj księgarni Schlettera) wyszły drukiem Henryka Lindnera 1862: Dziady przez Adama Mickiewicza, nowe wydanie zupełnie, mieszczące także fragmenta części pierwszéj Dziadów. Jest-to oczywiście przedruk najnowszego wydania paryzkiego; jakiem prawem uskuteczniony, o tem wydawca nigdzie nic nienadmienia. Według Dziennika lit. zamierza podobno Brockhaus w Lipsku przedrukować wszystkie dzieła Mickiewicza bez porozumienia się o tem z jego sukcesorami.

Motetty przez Pierluigi da Palestrina, na partyturę zredagowane p. Theodora de Witt, Iszy tom, druk i nakład Breitkopfa i Haertla w Lipsku, cena subskrypcyjna 5 tal. Tom ten mieści: Joannis Petraloisii Prenestini Motettorum, tj. śpiewów kościelnych starożytnych, 19 na pięć głosów, 7 na sześć głosów, 3 na siedem głosów ułożonych; polecamy dla znawców muzyki kościelnéj.

W Peszcie u Lauffera i Stolpa wyszło drugie wydanie słowackiéj gramatyki napisanéj p. J. Viktoriana, znanego pisarza i wydawcę almanacha „Lipa“ p. t.: „Grammatik der slovakischen Sprache, zum Schul- u. Selbstunterricht bearbeitet, mit Uebungsaufgaben, Gespraechen, einem ausfuerlichen Woerterverzeichnisse u. einer populaeren Chrestomathie versehen.“ Mamy więc sposobność przekonać się, czy p. J. Jeliteńko, autor Urywków filologicznych, obecnie w Dzien. lit. drukowanych, ma recyą, iż język słowacki we Węgrzech jest tylko narzeczem polskiego.

Redaktor i nakładca Dr. Kaźmierz Szulc przy ulicy Fryderykowskiéj Nr. 19. — Czcionkami A. Poplińskego.